

Łukasz Maślanka: Chiński kompleks Zachodu

Wydaje się, że nadchodzi wielki raskoś, w ramach którego zbuntowana przeciwko ideałom społeczeństwa postoświeceniowego część cywilizacji euroatlantyckiej może nawiązać – na wzór Bizancjum – konwergencyjno-konfliktową relację z nieliberalnymi systemami Wschodu – pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: *Modernizacja. Made in China.*

Jak uświadomił mi niedawno pewien znajomy przy okazji luźnej rozmowy, jeszcze kilkadziesiąt lat temu uczeni amerykańscy produkowali długie traktaty o tym, dlaczego kraje azjatyckie ukształtowane na podłożu kultury konfucjańskiej nigdy nie wybudują kapitalizmu. Obserwując burzliwy rozwój gospodarczy Chin, Japonii, Tajwanu, Malezji, Singapuru czy Korei Południowej trudno nie potraktować tamtych interpretacji na równi z artykułami prasy sowieckiej, zapowiadającymi wynalezienie leku na nieśmiertelność jeszcze przed XXII Zjazdem KPZR. Wydaje mi się, że powinniśmy wykazać więcej wyrozumiałości dla amerykańskich badaczy, umieszczając ich rozważania w ramach pewnej dynamiki historycznej. Kultura krajów Dalekiego Wschodu rzeczywiście nie była zdolna do zaadaptowania osiągnięć cywilizacji zachodniej, ale tylko do momentu, w którym tamtejsze elity nie wykonały pewnego wysiłku intelektualnego, który na taką adaptację pozwolił. Kiedy jednak te procesy myślowe już zaszły, to koncepcja amalgamatu tradycyjnej kultury chińskiej, japońskiej czy koreańskiej z kapitalizmem zaczęła być wprowadzana w życie z żelazną konsekwencją. Prowadzi to do

wniosku, że cechą specyficzną kultur Dalekiego Wschodu nie jest zamknięcie na te czy inne rozwiązania cywilizacyjne, lecz niechęć do oddolnego, spontanicznego niekontrolowanego przez władzę ich wprowadzania.

W jednym z tekstów opublikowanych w drugiej połowie lat 50. na łamach paryskiej „Kultury” Juliusz Mieroszewski, polemizując pośrednio z „nieprzejednanymi” ośrodkami emigracji, stwierdził, że zagadnieniem pierwotnym w stosunku do problemu niepodległości Polski jest pytanie, czy świat jutra będzie światem ludzi wolnych. Ta prowokacja intelektualna była elementem szerszego sporu z londyńskim „San Marino”, które zaskorupiło się już wtedy na dobre w formach sprzed 1939 roku, upatrując jedynej możliwości powrotu do Polski w wojnie wyzwoleniczej, która z powrotem usadowiłaby sanacyjną elitę w jej biurach i pałacach. Historia przyznała rację Mieroszowskiemu: Polska nie odzyskała niepodległości dzięki zbrojnemu czynowi przedwrześniowej *białogwardziejszczyzny*, wspomaganą amerykańską potęgą wojskową, lecz dzięki długotrwałemu procesowi erozji gospodarczej i społecznej sowieckiego imperium oraz stopniowej transformacji państw satelickich, okupionej do dziś krytykowanymi kompromisami z elitą komunistyczną. Rok 1989 stanowił unikalną synergię dwóch scenariuszy: realistycznego i romantycznego. „Imperium Zła” z każdym rokiem stawało się w coraz większym stopniu imperium absurdu i niegospodarności, co wyzwalało drzemiące w nim wcześniej siły odśrodkowe. Dawny aparat partyjny oraz zarządzana przezeń ludność mimowolnie połączyły się we wspólnym poczuciu bezsensu oraz potrzeby polepszenia swojego indywidualnego bytu. Efektem były nowe systemy, dalekie od wszelkiego ideału, ale równie oddalone od krwawej groteski stalinizmu.

Dzisiaj koronną przesłanką na rzecz polityki *business as usual* jest malejąca rola USA oraz konieczność pogodzenia się z ambicjami pekińskiego następcy

Cały ten proces transformacji świadczył o kulturowej zachodniości dawnego bloku sowieckiego (przynajmniej europejskiej jego

części) w porównaniu ze światem chińskim: tam to władza jako pierwsza przekonała się o utopijności maoistycznego systemu gospodarczego i z wielką energią przystąpiła do jego odgórnego, gruntownego przebudowy. Niekontrolowane przejawy indywidualizmu zostały rozjechane czołgami na Placu Niebiańskiego Spokoju, Chiny wkroczyły zaś w erę budowy rynkowego dobrobytu połączonego z niezwykle represyjnym systemem władzy. Obserwując burzliwy rozwój gospodarczy współczesnych Chin uczeni amerykańscy (i nie tylko) przystąpili do produkowania długich traktatów o tym, że nadzieja na demokratyzację Państwa Środka jest płonna, także ze względu na podłoże kultury konfucjańskiej. Skoro porzucono już prawie pół wieku temu nadzieję wiążaną z tajwańską *białogwardziejszczyzną*, jedynym narzucającym się wnioskiem było pogodzenie się z czerwonym kolosem na gruncie wzajemnych interesów gospodarczych. Do upadku żelaznej kurtyny niebagatelnym argumentem była również wrogość sowiecko-chińska, wykorzystywana do podkopywania potęgi Moskwy. Dzisiaj koronną przesłanką na rzecz polityki *business as usual* jest malejąca rola USA oraz konieczność pogodzenia się z ambicjami pekińskiego następcy. W związku z trudną sytuacją geopolityczną Polski, sam

zastanawiałem się, czy nie da się wykorzystać „lewara” chińskiego do uregulowania naszych stosunków z Rosją i zmniejszenia zależności od Zachodu.

Narzuca się jednak pytanie Mieroszewskiego: „czy świat jutra będzie światem ludzi wolnych?” Trzeba pamiętać o tym, że było ono zadawane w chwili, gdy dla wielu intelektualistów zachodnich, w tym samego Mieroszewskiego, gospodarcza absurdalność sowietyzmu wciąż nie była kwestią ostatecznie przesądzoną. Antykomunistyczna lewica krajów zachodnich obawiała się wówczas, że ewentualny sukces ekonomiczny bloku wschodniego może podkopać zachodnią wolność. Dzisiaj warto zapytać się, czy rozwój Chin w obecnych ramach ustrojowych może podkopać wolność euroatlantyckiego świata? Pomni jednak historycznych lekcji dodajmy od razu pytanie o to, czy rozwój bez pluralizmu i praworządności ma charakter zrównoważony i trwały? Zbyt łatwo się chyba dzisiaj przyjmuje to jako sprawę oczywistą. Wydaje mi się, że suma napięć społecznych wynikających z nierówności, frustracji związanych z administracyjnymi ograniczeniami w konsumowaniu osiągniętego dostatku, nierozwiązanej kwestii narodowościowej i religijnej może w pewnym momencie doprowadzić do eksplozji. Wciąż niespokojna sytuacja w Hong-Kongu oraz histeryczna drażliwość, z jaką władze chińskie traktują problem byłej brytyjskiej enklawy, świadczy o tym, że pekińskie *politbiuro* jest znacznie mniej pewne trwałości swojej władzy niż wielu jej zachodnich *poputczików*.

Trzeba o tym pamiętać w dobie narastającego kryzysu zachodniego modelu liberalnego. Wydaje się, że nadchodzi wielki *raskoł*, w ramach którego zbuntowana przeciwko ideałom społeczeństwa postoświeceniowego część cywilizacji euroatlantyckiej może nawiązać

– na wzór Bizancjum – konwergencyjno-konfliktową relację z nieliberalnymi systemami Wschodu. Polegałaby ona na stopniowym oddalaniu się tej „konserwatywnej” części Europy i Ameryki od wspólnych dotychczas zasad, przy jednoczesnym wzmacnianiu jej podstaw tożsamościowych w oparciu o narastający konflikt z cywilizacjami nieeuropejskimi. Ponieważ analogiczny proces kształtowania tożsamości poprzez konflikt następowałby po stronie kultur niezachodnich, w końcu doszłoby do nieuchronnego starcia i zniszczenia „schizmatycznego” odłamu cywilizacji euroatlantyckiej, tak jak zniszczone zostało Cesarstwo Wschodniorzymskie. Pozostała, wierna ideałom oświecenia, część Zachodu, nękana klęskami wynikającymi z bezsilności, wytworzyłaby w końcu jakieś formy przetrwalnikowe, które okazałyby się skuteczne, o ile elity liberalne wyzwoliłyby się ze swojej prawie całkowitej alienacji od własnych społeczeństw.

Słynna berlińska mowa Johna F. Kennedy'ego nie miała przełomowego charakteru dla ówczesnego podziału Europy. Również wygłoszone w stolicy zjednoczonych już Niemiec przedwyborcze wystąpienie Baracka Obamy w żaden sposób nie wzmocniło hegemonii modelu zachodniego. Wręcz przeciwnie: prezydentura tego polityka ujawniła tylko dawno rysujące się podziały oraz wspomnianą przed chwilą alienację elit. Przełomowa może natomiast okazać się niedawna warszawska przemowa Donalda Trumpa. Wydaje się, że – zgodnie z moimi najgorszymi obawami – została ona uznana przez obecny układ rządzący w Polsce za „zielone światło” dla dalszego zrywania ideologicznych i formalnych więzi z Zachodem, choćby poprzez demontaż trójpodziału władzy. Suma realnych patologii ujawnionych w czasie dalekiej od wszelkiej doskonałości, pełnej nieciekawych kompromisów, ale przecież i tak spektakularnej transformacji, zniechęciła sporą część polskiego, węgierskiego a wcześniej rosyjskiego

społeczeństwa do zachodniego modelu liberalnego. Suma realnych patologii wywołanych przez proces nierównomiernej i niesprawiedliwej globalizacji zniechęciła do niej także te społeczeństwa, które były jej największymi beneficjentami (Brexit, Trump).

Okres wielkiego *raskołu* nie jest jednak okazją do powolnej i rozważnej naprawy, lecz momentem wyładowania emocji i podejmowania długofalowych decyzji cywilizacyjnych w oparciu o dość krótkofalowe – w perspektywie historycznej – doświadczenie trzech dekad. Zadane w połowie lat 50 pytanie Mieroszewskiego o to, czy „świat jutra będzie światem ludzi wolnych” coraz częściej pomijane jest ze wzdrganiem jako oznaka niepoprawnego idealizmu. Nie należy go jednak traktować jako przeciwstawnego w stosunku do pytania o niepodległość i podmiotowość. Chodzi raczej o to, że po raz kolejny może okazać się, iż miejsce na mapie politycznej świata dla kraju położonego w takim miejscu i wyposażonego w taki potencjał, jak Polska, może znaleźć się tylko wtedy, gdy wpływ na wytyczanie granic będą mieli ludzie wolni. O ile rzymskie legiony na germańskim limitrofie były w stanie odeprzeć atak jednej lub drugiej wyprawy barbarzyńców, to jednak nie były w stanie zmienić ogólnych kierunków rozwoju historycznego. Podobnie amerykańskie brygady na flance wschodniej mogą stanowić realną ochronę przed gwałtownym atakiem, jednak nie przed erozją wynikającą z wielkiego *raskołu* cywilizacji euroatlantyckiej.

Herezjarcha (a może reformator?) Donald Trump zarzucił Zachodowi, że zapomniał o swoich korzeniach i przestał wierzyć w swój *manifest destiny*, efektem czego jest cała seria spotykających nasz świat klęsk. Do pretensji amerykańskiego prezydenta dołączyła natomiast cała grupa wrogów liberalnej kultury zachodniej w jej obecnym stanie. Tymczasem coraz częściej pojawiająca się u nas (od Władystywu)

przez Warszawę i Budapeszt aż po Kalifornię) afirmatywna refleksja nad modelem chińskim może świadczyć o tym, że słabość czai się także po tej drugiej, konserwatywnej stronie wielkiego *raskołu*, która zważyła w siłę autonomicznych instytucji, możliwość polubownego rozwiązywania sporów i synchronizowania sprzecznych interesów poprzez otwarty dialog polityczny. Dotykający te instytucje proces degeneracji dał takiemu sposobowi myślenia solidne podstawy

Obawa niekomunistycznych liberałów sprzed pół wieku o to, czy ewentualny sukces sowieckiej gospodarki, nie zachęci zachodnich społeczeństw do rezygnacji ze swoich wolności znajduje swoje potwierdzenie w trwającej obecnie kontestacji globalizacji i podziwie dla nieliberalnych systemów politycznych, takich jak chiński. Z perspektywy czasu jednak wiemy, że jedyną szansą przetrwania dla sowieckiego modelu ekonomicznego była siłowa likwidacja kapitalizmu na całym świecie, tak aby pozbyć się silniejszej i na dłuższą metę niszczycielskiej dla gospodarki centralnie sterowanej konkurencji. Całkiem możliwe, że trwałość chińskiego modelu zamordystycznego kapitalizmu zależy od wyeksportowania go na cały świat. Pierwsze sukcesy na tej drodze już są.